

Fragment wspomnień.....

Otrzymał przydział mobilizacyjny do DOK Toruń musiałem opuścić Bydgoszcz, co mnie uratowało od "[rzezi bydgoskiej](#)". A gdybym nawet cudem uniknął rzezi, zaopiekowałoby się mną gestapo, które mnie poszukiwało i kilkakrotnie przesłuchiwało naszą gosposię. Jak starannie Niemcy przygotowywali akcję wyłapywania upatrzonych ludzi, świadczy m.in. następujący fakt. Jeszcze za mojej bytności w Poznaniu, krótko przed moim przeniesieniem się do Bydgoszczy, zjawił się przedstawiciel wydawnictwa "Who's Who", w którym mieli znaleźć się m.in. wszyscy naukowcy. Należało wypełnić kwestionariusz, który zawierał takie dane jak udział w akcjach wojennych, w Powstaniu Wielkopolskim, odznaczenia wojskowe itd. Do kwestionariusza należało dołączyć fotografię z własnoręcznym podpisem. Z tym wydaniem "Who's Who" gestapo wychwytywało powstańców wielkopolskich. I jako takiego poszukiwali mnie w Bydgoszczy. Mój pacjent niemiecki zaglądał od czasu do czasu do mojego mieszkania. Pewnego dnia przyszedł do naszej gosposi i zapowiedział, że mieszkanie będzie zajęte przez lekarza z kraju nadbałtyckiego (Baltendeutscher), dra Blancka, i że będzie je musiała opuścić. Polecił mi powiedzieć, że nic nie mógł zrobić, by moje mienie uratować. Jego argumenty, że uratowałem go przed amputacją nóg i że jestem dobrym człowiekiem, nie miały żadnego znaczenia. Gestapowcy odpowiedzieli mu, że to wszystko może się zgadzać, ale nie zmienia faktu, że byłem powstańcem wielkopolskim.

W Toruniu dowiedziałem się, że mój pozew na ćwiczenia wojskowe był tajną mobilizacją. Okręgowy Szpital Wojskowy zmienił się w jednostkę wojenną i przygotowywał się do przyjęcia rannych. Komendantem naszym był płk Jaworski.

Kampania wrześniowa

Dnia 1 września spadły na Polskę pierwsze bomby lotnicze. Do szpitala zaczęli napływać ranni. Ich liczba wzrastała lawinowo. Byli to przeważnie żołnierze z terenów walk na Pomorzu. Pracowałem na oddziale chirurgicznym, do którego przydzielono kilku lekarzy. Nie byli oni chirurgami (neurolog dr Kaczyński, rentgenolog dr Antoni Tomicki, obaj z mego szpitala w Bydgoszczy, interniści i in.). Nie mieli żadnej wprawy w asystowaniu ani w opatrywaniu rannych. Sytuacja poprawiła się, gdy zgłosił się zupełnie prywatnie młody lekarz, który zapytał się, czy może mi w czymś pomóc. Był nim dr Stefan Wesołowski, mieszkający w Warszawie. Wracał właśnie z wczasów nad morzem, gdzie zaskoczyły go działania wojenne. Jego specjalnością była urologia, znał dobrze chirurgię. Obecnie jest wybitnym profesorem urologii. Wspólna praca szła nam bardzo składowo. Pracowaliśmy wtedy dzień i noc, aż zmęczenie stało się tak skrajne, że zacząłem zasypiać podczas mycia rąk do operacji. Wtedy kładłem się na kilka godzin do łóżka w jednej z pustych sal i zasypiałem kamiennym snem. Rannych bowiem ewakuowano szybko, tak że niektóre sale były puste mimo stałego przyływu świeżych rannych. Jak głęboki był ten sen, przekonałem się, gdy któregoś dnia obudziłem się z zimna. Spostrzegłem, że wszystkie szyby okien były potłuczone. Dowiedziałem się, że przyczyną była bomba lotnicza, która spadła w pobliżu szpitala.

Nigdy nie wiedziałem, kogo operuję, gdyż ewidencję chorych prowadził ktoś inny. Prawie nigdy nie robiłem opatrunków po raz drugi, gdyż rannych odtransportowywano szybko.

Dnia 4 września otrzymaliśmy w godzinach wieczornych rozkaz ewakuowania lekarzy i personelu operacyjnego ze szpitala bez względu na pozostałych rannych, których ewakuacją miał zająć się ktoś inny. Mieliśmy się spieszyć, gdyż most w Toruniu miał być wysadzony w powietrze. Przejechaliśmy więc przez most sanitarkami. W mojej sanitarce byli lekarze i personel sali operacyjnej. Zabraliśmy ze sobą możliwie dużo instrumentów i materiałów chirurgicznych. Wyjechawszy z Torunia z przerażeniem spostrzeżliśmy wokół palące się stogi i wioski, znak groźby sytuacji. Dojechaliśmy do Ciechocinka, gdzie zajęliśmy kwatery w pensjonatach (pustych). Ledwo zasnęliśmy, obudził nas rozkaz, że ekipa chirurgiczna ma natychmiast wrócić do Szpitala Wojskowego w Toruniu, bo jest gwałtownie potrzebna. Udział miał być ochotniczy. Zgłosiłem się ochotniczo i udaliśmy się sanitarką z drem Stefanem Wesołowskim oraz pielęgniarkami sali operacyjnej do Torunia. Most jeszcze stał. W szpitalu znaleźliśmy istotnie dużo świeżych rannych, pozbawionych jakiegokolwiek opieki chirurgicznej. Pracowaliśmy do wieczora. Praca była uciążliwa, gdyż mieliśmy bardzo mało instrumentów. Nie mogłem zdobyć piły do amputacji uda, dokonałem jej za pomocą dużego pilnika do paznokci i dokończyłem ręcznym złamaniem. Na noc wróciliśmy do Ciechocinka. Ranni pozostali w szpitalu. Krótco po przejeździe przez most słyszeliśmy detonację wysadzanej mostu.

Następnego dnia cały nasz konwój ewakuacyjny wyruszył. Nie wiedziałem, kto nim dowodzi, dokąd jedziemy. Nie obyło żadnych zebrania oficerskich, żadnej informacji. Konwój stopniowo malał. **W końcu nasza mała grupa dotarła do Dobrzelina pod Żychlinem.** Po drodze przyłączył się do nas uciekinier z zajętego już przez Niemców terenu. Przedstawił się jako ksiądz Sowiński i pozostał z nami do końca jako kapelan, ku wielkiemu zadowoleniu rannych.

W Dobrzelinie ulokowaliśmy się w szopie i przygotowaliśmy ją jako pomieszczenie szpitalne. Wkrótce dyrektor Grzybowski z dobrzelińskiej cukrowni zostawił nam do dyspozycji pałacyk, który również zamieniliśmy w szpital z salą operacyjną. W Dobrzelinie znaleźli się prócz mnie Ludwik Błażek, chirurg z Inowrocławia, dr Leon Krzywiński - ginekolog z Bydgoszczy i dr Stanisław Sroczyński - lekarz naczelny uzdrowiska w Ciechocinku oraz inni, których nazwisk już nie pamiętam.

Specjalnym zadaniem dra Sroczyńskiego było słuchanie radia, które znajdowało się w mieszkaniu dyr. Grzybowskiego. Codziennie mieliśmy świeże informacje, co się dzieje w świecie, a przelotni uciekinierzy, którzy przygodnie zatrzymywali się w Dobrzelinie, przynosili nam przerażające wiadomości o tym, co się dzieje w Poznańskim i na Pomorzu.

W tym okresie rozpoczęły się walki w kotle kutnowskim i nad Bzurą. Zalała nas natychmiast fala rannych, wśród których znaleźli się również żołnierze niemieccy. Zaczęły się pojawiać trudności aprowizacyjne. Z wielką pomocą przyszła nam miejscowa ludność. Dużą trudność sprawiła nam ucieczka personelu pielęgniarskiego, zwłaszcza wśród ochotniczych sanitariuszek. Czasami zgłaszały się pojedynczo nowe, ale zatrzymywały się 2-3 dni i wędrowały dalej.

Sytuacja naszego szpitala w Dobrzelinie zmieniła się zasadniczo, gdy pewnego dnia zgłosiła się grupa siostr zakonnych, **Elżbietanek**, które wraz przełożoną uciekły na wozie konnym z Poznania. Siostry zaoferowały nam swą pomoc - szczególnie cenną, gdyż były obeznane

z pracą szpitalną. Musiały opuścić swój szpital w Poznaniu. Wśród nich najcenniejszymi były siostry operacyjna oraz gospodarcza. Mając do dyspozycji wóz z koniem, mogła objeżdżać sąsiedzkich gospodarzy. Wkrótce chorzy nasi otrzymali pościel i bieliznę. Poprawiło się wyżywienie. Obecność kwalifikowanych chirurgów, doświadczonej siostry operacyjnej i fachowa pielęgnacja podniosły znacznie poziom pracy szpitala. W szpitalu zapanował ład i porządek.

Szpital nasz w Dobrzelinie odwiedzali sporadycznie lekarze z pociągu ewakuacyjnego, który wyruszył z Poznania i ugrzązł na torach niedaleko Żychlina. Odwiedził nas doc. dr Jan Krotowski z Kliniki Chirurgicznej. Zatrzymał się nawet kilka dni u nas. Nie mógł jednak pogodzić się z improwizowanymi warunkami, w jakich pracowaliśmy jako chirurdzy. Wyruszył więc dalej do Warszawy. Odwiedził nas także prof. dr Antoni Jurasz, dyrektor Kliniki Chirurgicznej, promotor mej pracy habilitacyjnej. Opuścił on swój pociąg ewakuacyjny i wrócił do niego. Odwiedzali nas różni znajomi po drodze swej ucieczki.

Jeden z nich przywiózł mi od naszej gosposi z Bydgoszczy wiadomość, że jeżeli zaraz nie wrócę do Bydgoszczy, stracę mieszkanie wraz z całym mieniem. Najbardziej przykrą była mi myśl, że stracę swoją bibliotekę, w którą tyle oszczędności włożyłem i która stała się cennym zbiorem najnowocześniejszej literatury fachowej, krajowej oraz zagranicznej.

W miarę pogarszania się sytuacji naszych wojsk w kotle kutnowskim, ogarniała szpital coraz większa panika. Los naszego szpitala oceniliśmy jako przesądzony. Zaczęła się ucieczka personelu, a nawet oficerów lżej rannych. Mnie samego ogarniały wyrzuty sumienia, że nie zjawiając się w Bydgoszczy stracę cały swój dobytek. Od znajomych w Dobrzelinie otrzymałem ubranie cywilne. Ubrałem się w nie i któregoś dnia stanąłem w nim na progu szpitala. Nie mogąc zdobyć się na przekroczenie progu, stałem tu chwilę. Wewnątrz pojawiał się coraz większy opór i zdecydowanie. Wróciłem więc do wnętrza, wdziałem z powrotem swój mundur i z podziękowaniem oddałem pożyczone ubranie. Krótco potem nadeszła wiadomość, że mieszkanie moje zostało zajęte. Spadł mi kamień z serca. Los sam zadecydował. Rozproszyły się moje wyrzuty sumienia.

W dniu 10 września rozpoczęły się naloty bombowe. Bomby padały w sąsiedztwie szpitala. Ja stałem podczas tego nalotu przy łóżku chorego, któremu akurat poprawiałem opatrunek. Podmuch bomby był tak silny, że odrzucił łóżko chorego. Żelazna rama łóżka uderzyła mnie w podudzie, łamiąc je. Zaopatrzył mnie fachowo opatrunkiem gipsowym podchorąży (Pogorzała), b. asystent płk Sokołowski. Dzięki temu dobremu założeniu marszowego gipsu mogłem wkrótce kontynuować swe obowiązki.

Linia frontu zbliżała się coraz bardziej do nas. W dniu 17 września otrzymaliśmy rozkaz ewakuowania szpitala. Mieli pozostać tylko ciężko ranni - niezdolni do transportu oraz lekarze, którzy ochotniczo chcieli pozostać przy rannych. Postanowiłem pozostać wraz z rannymi oraz z drem Błażkiem i drem Sroczyńskim. Do ewakuacji jednak nie doszło.

Front był już blisko Dobrzelina. Wiedzieliśmy, że Niemcy wezmą nas do niewoli. Nikt nie wiedział, jak obejdą się z nami. Wszyscy oczekiwaliśmy najgorszego. Ks. kapelan Sowiński miał wiele roboty, bo wszyscy chcieli być zaopatrzeni przez niego.

Nocą słyszeliśmy nieustanny turkot czołgów przejeżdżających po pobliskiej szosie. O świcie

niemieccy żołnierze z karabinami maszynowymi obstawili budynek szpitalny. Wyszedłem do nich i oświadczyłem, że budynek to szpital z rannymi. Odebrali mi rewolwer, o który pytali, i poszli dalej. Po krótkim czasie przyszedł jakiś niemiecki Oberst (pułkownik) ze świtą, dokonał przeglądu pomieszczeń, zastał kilku rannych żołnierzy niemieckich. Podziękował nam za opiekę nad nimi i poszedł. Wkrótce zjawił się Hauptmann Vogt, który oświadczył, że jesteśmy szpitalem jeńców wojennych i że on sprawuje nad nami władzę.

W szpitalu zakwaterowano załogę żołnierzy niemieckich, na pewien czas. Byli to rezerwiści pobrani do wojska. Pocieszali nas zapewniając, że będzie nam świetnie ("Ihr werdet es prima haben"). Opowiadali, że nowy ład w Niemczech jest wspaniały. Sami mogli wybudować domki rodzinne, pomagając sobie wzajemnie, "Kraft durch Freude" daje im duże udogodnienia, mogą kupować nawet samochody (Volkswagen), które są tanie, podobnie jak lekarstwa. Słowem: prima. Oni wierzyli oczywiście w wielką przyszłość.

Zachowanie się wojskowych władz niemieckich w stosunku do rannych żołnierzy polskich i do nas - lekarzy - było rzeczowe i poprawne. Nie wolno nam było opuszczać szpitala, ale mogliśmy wychodzić do ogrodu otaczającego szpital. Liczba rannych przywożonych z terenu walk spadła znacznie i wkrótce dopływ ustał całkowicie. Nasza praca lekarska ograniczyła się teraz do robienia opatrunków. Ekipa żołnierzy niemieckich, która pilnowała nas, odjechała. Gdy Niemcy zaczęli wywozić rannych i zabrali lekarzy nie będących chirurgami do Łodzi, wielu lżej rannych uciekło ze szpitala. Uciekło również kilku lekarzy, jak dr Antoni Tomicki - rentgenolog i dr Kaczyński - specjalista w chorobach skórnych. Obaj wrócili do Bydgoszczy. Tu, jak dowiedziałem się później, zostali natychmiast ujęci i rozstrzelani. Nam ucieczki te uszły płazem, bo nikt z Niemców nie interesował się ewidencją rannych. Była zadziwiająca różnica między zachowaniem się przedstawicieli regularnego wojska niemieckiego a późniejszym zachowaniem się wojsk SS.

W szpitalu staliśmy się - my lekarze - prawie bezrobotni. Kilka opatrunków, zmienianych u naszych rannych, zabierało nam zaledwie godzinę czasu przed południem. Początkowo odczuwałem to jako ulgę, a po kilku dniach brak mi było pracy. Zrozumiałem wtedy, jak wielkim błogostawieństwem dla człowieka jest praca.

Przez cały czas działań wojennych nie wiedziałem nic, co się dzieje z żoną i dziećmi, ani gdzie przebywają. Tak samo żona nie wiedziała niczego o mnie. Pierwszą wiadomość otrzymała od mężczyzny z obandażowanym przedramieniem, który udał się do Nałęczowa, a któremu dał dla żony dr Stefan Wesołowski swą wizytówkę z dopiskiem "Widziałem Wiktora w dniu 17 września, był zdrow i cały". Dr Wesołowski znajdował się gdzieś w okolicy Sochaczewa. Wiadomość doszła do rąk żony 17 października.

W końcu października zamierzała wyjechać do swych krewnych w Radomiu jedna z mieszanek Dobrzelina (p. Wanda Tarnowska). Pracowała ona ochotniczo przy chorych w naszym szpitalu. Przyrzekła, że spróbuje odszukać żonę w Nałęczowie, co jej się też udało.

W pierwszych dniach listopada 1939 r. miało nastąpić nakreślenie granicy tzw. Generalnej Guberni, a szpital nasz w Dobrzelinie otrzymał rozkaz przeniesienia się wraz z rannymi i personelem do Łowicza. Było to nasze szczęście, gdyż Łowicz leżał na obszarze Guberni, podczas gdy Dobzelin przynależałby do Reichu. W dniu naszej przeprowadzki spostrzegłem

nagle postać mojej żony, wchodzącej po schodach likwidującego się szpitala. Ogarnął mnie w pierwszej chwili lęk o jej dalszy los i przywitałem ją słowami, których nie może mi wybaczyć do dziś: "Po coś tu przyjechała"? Wiedziałem, że wjechała na teren Reichu, a ponadto, że musimy się za chwilę rozstać. Sanitarki transportowe czekały na nas.

Po tym niefortunnym przywitaniu załała mnie fala szczęścia; uświadomiłem sobie, że żona i dziewczynki przetrwały ten tragiczny okres bezdomności, w dodatku bez pieniędzy. Przyjazd żony do Dobrzelina okazał się jednak szczęśliwym trafem. Rodzice p. Wandy, której ojciec był urzędnikiem cukrowni, mieli swój domek w Dobrzelinie i przygarnęli do siebie żonę i córeczki. Żona pomagała w gospodarstwie. Jako lekarka-pediatra nie mogła znaleźć urzędowej pracy, lecz była wysoce przydatna, gdy dzieci we wsi i okolicy chorowały.

Szczęściem dla nas był fakt, że szpital nasz przeniesiono do Łowicza, na teren Guberni. Wszystkie bowiem szpitale jeńców wojennych, które znajdowały się na terenie przydzielonym do Reichu, zostały zlikwidowane. Lekarze i lżej ranni dostali się do oflagów. Ciężej rannych przewieziono do Łodzi.

W Łowiczu ulokowano nasz szpital w pomieszczeniach jakiegoś gimnazjum. Byliśmy nadal szpitalem jeńców wojennych, a Hauptmann Vogt był nadal naszym komendantem. Ludność miejscowa, która w określone dni mogła odwiedzać rannych, zaopiekowała się nimi w sposób nad wyraz ofiarny. Opieka lekarsko-chirurgiczna była wystarczająca. Nie posiadaliśmy, oczywiście, aparatury rentgenowskiej ani żadnej możliwości stosowania wyciągów, drutów itp. Staraliśmy się jednak zabezpieczyć chorych możliwie optymalnie.

Pewnego dnia otrzymałem wiadomość z Dobrzelina, że Basia, moja starsza siedmioletnia córeczka, złamała przedramię. Żona prosiła, by udzielić jej pomocy. Hauptmann Vogt udzielił mi trzydniowego urlopu pod warunkiem, że komendant miejscowy zapewni mi przewóz. Udałem się więc do niego i przedstawiłem tragizm sytuacji, że będąc chirurgiem ortopedą nie mogę udzielić pomocy własnemu dziecku, znajdującemu się niewiele kilometrów ode mnie. Komendant potraktował mnie jako oficera-jeńca i tłumaczył się, że nie może dać mi do dyspozycji swego wozu, ale wystawi mi glejt na przejazd kolejowy. Uczynił to wszystko na oficerskie słowo honoru, że wrócę.

Gdy wysiadłem z pociągu w Żychlinie, w pełnym umundurowaniu wojskowym z dystynkcjami oficerskimi i z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu, zapanowała na dworcu konsternacja. Wpierw u żandarmów niemieckich, którzy po okazaniu przepustki przepuścili mnie, a potem wśród ludności cywilnej, widzącej umundurowanego oficera polskiego idącego swobodnie i samotnie. Samotność skończyła się szybko, bo otoczyła mnie chmara dzieci i dorosłych, w których to towarzystwie wkroczyłem do Dobrzelina.

Trudno wyobrazić sobie naszą radość. Nikt się tu mnie nie spodziewał. Po miesiącach rozłąki i niepewności znaleźliśmy się znów razem. Złamanie przedramienia Basi okazało się pęknięciem kości promieniowej bez przemieszczenia, które żona już sama zaopatrzyła opatrunkiem gipsowym. Noc spędziłem w gościnnym domu państwa Tarnowskich i nazajutrz wróciłem koleją do Łowicza. To zadziwiająco ludzkie postępowanie względem polskiego oficera - jeńca było możliwe tylko dlatego, że władza terenowa leżała w rękach oficerów regularnej armii niemieckiej.

Nowe życie w okupowanej Warszawie

W dniu 1 kwietnia 1940 r. przyszedł rozkaz zlikwidowania całego szpitala. Ciężej chorych odtransportowano do Szpitala Ujazdowskiego, zaś lekarze, a wśród nich i ja, mieliśmy udać się indywidualnie pociągiem. Jechaliśmy w naszych mundurach z przepaskami Czerwonego Krzyża. Zgodnie z poleceniem zgłosiłem się w Szpitalu Ujazdowskim. Zastałem tu doc. dra Jana Krotowskiego oraz dra Komzę - asystenta prof. Raszei z Poznania. Pełnili oni funkcje ordynatorów oddziału w Szpitalu. Nikt mnie nie ewidencjonował i nikt mnie nie chciał zatrudnić w Szpitalu Ujazdowskim, był bowiem nadmiar lekarzy. Zdjąłem więc mundur i rozpocząłem życie cywilne na własną rękę. Odszukałem mego kolegę dra Mieczysława Łuźnińskiego, który sam wysiedlony wraz z rodziną z Poznania zamieszkał w Warszawie u rodziny swych teściów - również wysiedlonych z Ostrowa. Zajmowali oni mieszkanie przy ul. Lwowskiej 5. Oni to mnie przygarnęli na pierwsze moje dni w Warszawie. W Warszawie miałem kilku znajomych i przyjaciół. Operowałem ich dzieci jeszcze w Poznaniu.

Gdy ich odwiedzałem, cieszyli się wizytą bardzo, gościli, ale nie mogli mi wskazać żadnego punktu zaczepienia. Zawiodły mnie również próby zaczepienia się jako asystent w którymś ze szpitali czy klinik. Przeważnie radzono mi, abym nie liczył na Warszawę, a raczej przeniósł się np. do Radomia, gdzie łatwiej znajdę pracę. Nie miałem jednak ochoty na to - wolałem odczekać i przetrwać.

Któregoś dnia stałem na narożniku ul. 28 Sierpnia, gdy z jadącego tramwaju wyskoczył mężczyzna, przewrócił się, wstał sam, lecz chwycił lewą ręką za prawy bark. Podeszedłem do niego, przedstawiłem się jako lekarz i wyraziłem przypuszczenie, że może ma złamanie szyjki ramiennej albo zwichnięcie głowy ramiennej. Im prędzej nastąpi nastawienie, łatwiejsze ono będzie i pozbędzie się bólu. Ponieważ na ul. Śniadeckich miał swój gabinet lekarski dr Leon Kalina, mój dobry znajomy, zaprowadziłem tam owego nieszczęśnika. Okazało się, że pacjent ma zwichnięcie, które dr Kalina nastawił w krótkiej narkozie, jaką dawałem. Z pobranego honorarium otrzymałem 50 zł. Były to moje pierwsze zarobione w Warszawie pieniądze.

Nastrój wśród ludności był ponury. Na froncie zachodnim opór armii francuskiej załamał się. Padł Paryż. W tym właśnie dniu dostałem gwałtownego ataku kamicy żółciowej i znalazłem się w Klinice Chorób Wewnętrznych, prowadzonej przez prof. Witolda Orłowskiego. Leżałem na oddziale doktora, a później profesora Wincentego Hartwiga. Rozpoznanie brzmiało bardzo precyzyjnie: kamień w przewodzie wyprowadzającym woreczka żółciowego (późniejsza operacja potwierdziła to rozpoznanie). Mój pobyt w szpitalu dał żonie powód do uzyskania przepustki z komendantury w Kutnie na jednodniowy wyjazd z Dobrzelina do Warszawy. Postanowiliśmy wtedy, że pozostaniemy w Warszawie i że żona poczyni starania, by uzyskać pozwolenie przeniesienia się z Dobrzelina do Warszawy.

Po opuszczeniu szpitala udało mi się uzyskać zgodę na zajęcie pokoju w mieszkaniu na drugim piętrze domu przy ul. Lwowskiej 5. Mieszkała tu staruszka Żydówka z leciwą gosposią. Rodzina opuściła ją. Staruszka pozostała sama i chętnie odstąpiła mi jeden pokój. Tu też ulokowała się żona z dziećmi po przyjeździe z Dobrzelina. Byliśmy szczęśliwi, że będziemy już teraz razem.

Po niedługim czasie staruszka musiała udać się wraz z gosposią do getta. Zarejestrowałem

się w Warszawskim Związku Lekarzy i uzyskałem przydział mieszkania ze zgodą na otwarcie praktyki prywatnej. Do pustego mieszkania przyjęliśmy pięć znajomych pań, wysiedlonych z Poznania. Były to: dr med. Stefania Łazarewicz, Stanisława Łuczkiwicz, sekretarka Dziekanatu UP wraz z siostrą Werą Łuczkiwicz oraz p. Hala Tomaszewska, pracownica Kwestury UOP, z siostrą Zofią Tomaszewską. Zjawiała się też nasza gosposia, która zdołała opuścić Bydgoszcz. Powstały więc dla wszystkich optymalne warunki bytowania.

Nawiązałem kontakt z Lecznicą przy ul. Emilii Plater i tu mogłem operować dorosłych pacjentów. Wśród nich znajdowały się osoby, u których trzeba było pozorować leczenie, a czasem takie, które pod poduszką skrzętnie chowały rewolwer. Byli to przeważnie ranni partyzanci.

W maju 1940 r. zmarł nagle dr Tomasz Wiśniewski, ordynator oddziału chirurgicznego w Szpitalu im. Karola i Marii. Założycielem i dyrektorem szpitala był prof. Władysław Szenajch. Niemcy zdjęli go z urzędu, ale czuwał on nad swoim szpitalem i był w nieoficjalnym kontakcie z lekarzami, a zwłaszcza z prof. drem Janem Bogdanowiczem. Dyrektorem komisarycznym Szpitala był dr Zbigniew Kajkowski, wysiedlony z Gdyni. Zgłosiłem się więc do prof. Szenajcha z zapytaniem, czy zaakceptowałby moją kandydaturę na ordynatora po zmarłym drze Wiśniewskim. Po porozumieniu się ze swoimi byłymi współpracownikami prof. Szenajch zgodził się, a urząd magistracki mianował mnie ordynatorem.

Szpital im. Karola i Marii przy ul. Karolkowej był szpitalem dla dzieci. Miał on budowę pawilonową. Był więc pawilon gospodarczo-administracyjny, pawilon internistyczny, zakaźny, chirurgiczny. Ten ostatni stał się moim królestwem.

Moje zjawienie się i moja specjalność chirurgiczno-ortopedyczna zmieniła nieco profil oddziału. Dotychczas dominowała chirurgia miękka, a teraz doszła chirurgia kostnowstawowa. Naturalnym stał się więc podział pracy. Pieczę nad chirurgią "miękką" przejął znakomity chirurg dr Tadeusz Hroboni i dr Witold Szonert. Jako nowi asystenci zostali przyjęci dr Aleksandra Kurowska, dr Witold Jeske i dr Władysław Barcikowski.

W krótkim czasie zespół lekarzy, pielęgniarek i salowych oddziału zgrał się znakomicie i wytworzyła się atmosfera wzajemnego zaufania. Była ona konieczna, aby szpital mógł pełnić inne jeszcze zadania, które mu przypadły. Od czasu do czasu znajdowały się na oddziale dzieci żydowskie, bądź dla leczenia, bądź dla przejściowego przechowania. Za to groziła kara śmierci lub co najmniej obóz. Od czasu do czasu zjawiał się ktoś, kto prosił mnie o wizytowanie chorego w domu. Ale zamiast adresu podano mi narożnik określonej ulicy lub jakiś punkt w mieście oraz godzinę, w której mam tam przybyć. Tam ktoś inny czekał na mnie i prowadził mnie do mieszkania, w którym leżał młody człowiek, przeważnie z jakimś złamaniem postrzałowym. Nigdy nie wiedziałem, czy to partyzant względnie żołnierz. Zawsze był już zaopatrzony, ale lekarz jego miał wątpliwości co do dalszego postępowania i chciał to ze mną przekonsultować.

Raz sam prof. Jan Bogdanowicz zaprowadził mnie do mieszkania, gdzie leżał młodzieniec z rozległymi śladami pobicia. Był on jednym z tej grupy więźniów, których wieziono z przesłuchania przez gestapo w Alei Szucha, a których odbili nasi na ul. Długiej. Opowiadał nam, że Niemcy aresztowali go wraz z ojcem i opisał sposób, w jaki ich obu przesłuchiowano.

Podstawą tego przesłuchania było strącenie ze schodów półpiętrowych oraz wrzucenie do wanny z zimną wodą, gdy tracili przytomność. Był dumny, że nikogo nie sypnął. Nie wiedział, co stało się z ojcem.

Podziwiałem sposób organizowania moich tego rodzaju konsultacji. Starano się zawsze o zapewnienie mi największego bezpieczeństwa. Przez cały czas mej pracy w szpitalu nie mieliśmy żadnej wsypy, mimo licznych kontroli szpitala przez agentów niemieckich. Straciliśmy tylko kol. Szonerta, którego gestapo zabrało z domu i słuch po nim zaginął.

Operacje w szpitalu rozpoczynaliśmy o ósmej rano. Dojeżdżałem tramwajem z końcowego przystanku przy ul. 28 Sierpnia do końcowego przystanku ul. Młynarskiej. Miałem więc zawsze zapewnione miejsce siedzące, a że przejazd trwał około pół godziny, zabierałem ze sobą książkę naukową, którą chciałem przestudiować. Nauczyłem się tak "wyłączać się", że tłok w tramwaju nie przeszkadzał mi. W ten sposób przestudiowałem kilka dzieł.

W szpitalu pracowałem tylko przed południem. Dr Hroboni, który mieszkał na terenie szpitala, pełnił dyżury popołudniowe i nocne. W południe udawałem się, jeśli była potrzeba, do lecznicy przy ul. Emilii Plater i operowałem względnie odwiedzałem swoich pacjentów. Po południu przyjmowałem w domu pacjentów, o ile ktoś się zjawił. Żona jako pediatra znalazła pracę. W ten sposób oboje mieliśmy wypełniony dzień i zabezpieczony byt. Dzieci chodziły do szkoły Emilii Plater.

Dnia 1 sierpnia 1944 r. około godz. 16 udałem się z ul. Lwowskiej do Lecznicy przy ul. Emilii Plater. Wiedziałem o wybuchu powstania i chciałem być w tym punkcie opatrunkowym przed jego wybuchem. Po drodze przejeżdżała kolumna wojsk niemieckich. Widać było nieład w ich szeregach, szli obok obładowanych wozów.

W Lecznicy zastałem już zorganizowany punkt. Rozpoczęła się strzelanina w mieście. Zaczęli się pojawiać pierwsi ranni. Przez noc pozostałem w Lecznicy. Gdy usłyszałem odgłosy kilofów, zrozumiałem, że to budowanie barykady, a więc plan opanowania Warszawy przez powstańców nie powiódł się. Zdałem sobie sprawę, że ciężkie dni stoją przed nami.

Wiktor Dega

[Planowana cz. 2 autobiografii nie została napisana; prof. Dega zmarł w 1995 r.]

""Kwartalnik Historii Nauki i Techniki"
R. 29:1985 z. 2 s. 259-322